

Przez dziesięciolecia legenda ataku szczytowego Mallory'ego i Irvine'a fascynowała pokolenia wspinaczy. Mistrz Mallory i jego „uczeń” Irvine, mimo że najprawdopodobniej nie zdobyli wierzchołka Mount Everestu, wciąż pozostają niedościgłym wzorem najczystszej duszy eksploracji i sportowego wyzwania. Bogata w detale i nasycona dramaturgią książka Anker i Roberts nie tylko opisuje kulisy kontrowersyjnej wyprawy poszukującej ciał Mallory'ego i Irvine'a, ale również przybliży sylwetki dwójki bohaterów oraz pozostałych uczestników pionierskich wypraw z lat 20. XX w., nadając im pełniejszy wymiar. Wymiar tym bardziej fascynujący, bo oceniany z perspektywy współczesnego alpinizmu, obficie korzystającego z zaawansowanego technologicznie sprzętu i odzieży. Ta książka potwierdza po raz kolejny, że nie sposób wyobrazić sobie historii zdobywania himalajskich szczytów bez dwójki heroicnych Brytyjczyków.

**PIOTR TURKOT**

**Wspinanie.pl**

Relacje z historycznej wyprawy George'a Mallory'ego i współczesnej Conrada Ankeri uświadamiają nam, jak bardzo rozwinął się himalaizm i jak wiele ryzykowali pierwsi zdobywcy. To hołd złożony tym, którzy na najwyższy szczyt świata szli w butach, jakich nie chcielibyście zakładać na polski mróz.

**ADAM ROBIŃSKI**

**National Geographic Polska**

Opowieść nie tylko dla ludzi gór i wspinaczy, nie tylko próba rozwiązania zagadki, kto na szczycie Mount Everestu stanął jako pierwszy. Książka Anker i Roberts jest przede wszystkim studium marzeń zamieniających się w obsesję.

**JOANNA SZYNDLER**

**Magazyn Podróże**

George Mallory i Andrew Irvine 8 czerwca 1924 roku podjęli próbę wejścia na niezdojdyty w tamtych czasach Mount Everest. Ostatni raz widziano ich pod samym wierzchołkiem, w pobliżu najtrudniejszego technicznie miejsca na drodze – drugiego uskoku. Niestety już nigdy nie powrócili do bazy, a wraz z nimi zaginęła odpowiedź na pytanie, czy to właśnie oni byli pierwszymi ludźmi na szczycie najwyższej góry świata... „Zaginiony” to nie tylko próba rozwiązania jednej z największych górskich tajemnic, ale przede wszystkim wyśmienity dokument obrazujący dramatyczne początki współczesnego alpinizmu. To historia o tym, jak daleko i wysoko może nas zaprowadzić czysta pasja odarta z wynalazków XX wieku. I co najważniejsze – książka ta jest niezwykle jasną i precyzyjną odpowiedzią na pytanie: Dlaczego tak naprawdę chodzimy w góry?

**WOJCIECH KARNAŚ**

**Climb.pl**

Co wydarzyło się 8 maja 1924 r. na zboczach Everestu? Czy Mallory i Irvine stanęli na jego wierzchołku? Te dręczące pytania domagają się odpowiedzi, podobnie jak na rozwiązanie czeka zagadka zaginięcia Amelii Earhart. To niezwykle wciągająca opowieść o pionierskich wyprawach Brytyjczyków na Mount Everest oraz o wspinaczach, którzy po 70 latach podążają ich śladami, starając się rozstrzygnąć, komu należy się miano pierwszych zdobywców najwyższego szczytu świata.

**BARBARA ŻUKOWSKA**

**National Geographic Traveler**



CONRAD ANKER & DAVID ROBERTS

ZAGINIONY  
RZECZ O ODNALEZIENIU  
MALLORY'EGO NA EVEREŚCIE

W PRZEKŁADZIE  
DOROTY KONOWROCKIEJ

Mayfly

WARSZAWA 2012

Tytuł oryginału:  
THE LOST EXPLORER:  
FINDING MALLORY ON MOUNT EVEREST

Copyright © 1999 by Conrad Anker and David Roberts

Ilustracja na okładce:  
DUNCAN GRANT „GEORGE LEIGH MALLORY”, OLEJ NA DREWNIĘ 1912

Copyright © NATIONAL PORTRAIT GALLERY, LONDON

Grafika i skład wydania:  
JOANNA MERKLEJN

Redakcja:  
OŁO SAWA

Korekta:  
MAŁGORZATA DENYS

ISBN 978-83-62827-13-8

Wydawca:  
Mayfly sp. z o.o.  
02-093 Warszawa, ul. Pasteura 4/6/54

*Światlanej pamięci George'a Leigha Mallory'ego i Andrew Irvine'a*



*15 czerwca, dzień przed opuszczeniem bazy i wyruszeniem w drogę powrotną ci członkowie wyprawy na Mount Everest z 1924 roku, którzy przeżyli, zapisali swoje imiona na skrawku papieru. Pozostawili po lewej stronie miejsce na podpisy chorego i nieobecnego dowódcy wyprawy, generała Charlesa Bruce'a, oraz zaginionych Irvine'a i Mallory'ego. Podpisy te wycięto z listów i notatek sporządzonych podczas pobytu na zboczach Everestu, a następnie naklejono na wspomnianą kartkę. Jej oryginalny egzemplarz został wszyty w jeden z egzemplarzy książki *The Fight for Everest (Bitwa o Everest)*, opublikowanej w 1925 roku*

ZA ZGODĄ BIBLIOTEKI AMERYKAŃSKIEGO KLUBU ALPINISTYCZNEGO,

GOLDEN W STANIE KOLORADO





PRZEDMOWA

LESZEK CICHY



„Panie Mallory, dlaczego chce pan zdobyć Everest?”  
 „Dlatego, że istnieje”.

Ta odpowiedź na pytanie nowojorskiego dziennikarza przeszła do historii i przez lata całe była tarczą, za którą chowaliśmy się przed nagabywaniem dziennikarzy. Jeździliśmy na kolejne wyprawy, na inne ośmiotysięczniki i tylko modyfikowaliśmy odpowiedź.

Bo dla Mallory'ego nie istnienie Mount Everestu było usprawiedliwieniem, ale to, że ten szczyt to cel niezdobyty i nie stanęła na nim jeszcze stopa człowieka. Taka też była nasza motywacja przy wyprawach na inne himalajskie szczyty.

A gdy my jechaliśmy pokonywać Himalajskiego Olbrzyna, zdobytego już przecież wcześniej, to jechaliśmy, by go pokonać inną, nową, trudniejszą drogą albo dokonać pierwszego zimowego wejścia na najwyższy szczyt ziemi. Co udało się 17 lutego 1980 roku.

George Mallory był i pozostał dla himalajskich wspinaczy nie tylko romantycznym bohaterem, legendą, wzorcem, lecz także postacią, której dokonaniami mierzyliśmy własne cele, marzenia i osiągnięcia. Był ambasadorem kilku pokoleń wspinaczy w rozmowach z rządami państw o zezwolenie na wspinaczkę i ze sponsorami o finansowaniu kolejnych wypraw. Ale był kimś jeszcze ważniejszym, w tych najtrudniejszych chwilach, kiedy przychodziło samemu sobie odpowiedzieć na pytania: Czy jechać na kolejną trudną, niebezpieczną wyprawę? Czy podejmować ryzyko? Czy to ma sens? Wtedy na myśl przychodził Mallory. Tak, On by pojechał i podjął wyzwanie.

Bo też i postać George'a Mallory'ego była, a właściwie też jest, godna podziwu. Podziwiamy Go nie tylko jako wspinacza, lecz także jako człowieka – romantyka, ale chodzącego twardo po ziemi, pełnego ciepła i miłości do żony i rodziny, ale zgłaszającego się na ochotnika do udziału w wojnie. W wojnie, która zabrała Mu parę lat życia i na której ranny o mało nie zginął.

Jednak legenda Mallory'ego to ta wyprawa na Mount Everest z roku 1924. To podczas niej właśnie wraz z Irvine'iem wyruszyli 8 czerwca w kierunku szczytu. Z tej próby ataku szczytowego nigdy nie wrócili. Pozostała jednak niepewność, czy zawrócili, czy też wracali z wierzchołka Góry Gór?

No cóż, w zasadzie wszyscy eksperci i przytłaczająca większość himalaistów nie uważa zdobycia przez Mallory'ego i Irvine'a Mount Everestu w 1924 roku za możliwe. Logicznych i racjonalnych powodów jest wiele.

Po pierwsze, obrana przez Mallory'ego droga stwarza olbrzymie trudności. Drugi uskok grani to prawie pionowa 30-metrowa ściana na wysokości 8570 metrów, bez możliwości obejścia. Alpinści chińscy pokonali drugi uskok w roku 1975, korzystając ze składanych aluminiowych drabin. Zresztą o trudnościach tego miejsca świadczy sam film. Conrad Anker, świetny współczesny wspinacz, dla pokonania tego odcinka zdejmuje historyczny sztafaż i zakłada nie tylko ciepły kombinezon puchowy, supercieple i lekkie buty wspinaczkowe, lecz także współczesne 12-zębne raki. A i tak jego pierwsza próba kończy się odpadnięciem i od upadku w przepaść ratuje go tylko dobra, współczesna asekuracja z liny nylonowej.

Po drugie, nie znaleziono NIGDY jakichkolwiek śladów bytności człowieka powyżej drugiego uskoku sprzed pokonania go przez chińskich wspinaczy. Trasę tę od tego czasu przeszło kilkuset himalaistów i NIKT nic nie znalazł. Czekan Mallory'ego lub Irvine'a znaleziono na grani w 1933 roku na wysokości 8450 m, a więc poniżej drugiego uskoku.

Poza tym Mallory i Irvine mieli ze sobą latarki i pochodnie magnezjowe. W przypadku przymusowego biwaku, wobec braku łączności radiowej, dawałoby sygnały świetlne. Mimo pogodnej nocy z 8 na 9 czerwca 1924 roku nikt z uważnych obserwatorów, towarzyszy niepokojących się ich losem, niczego nie zauważył.

Ale najważniejszym argumentem za niezdobyciem przez Mallory'ego i Irvine'a Góry Gór jest miejsce znalezienia ciała Mallory'ego.

*Ciało Mallory'ego znaleziono 1 maja 1999 roku na wysokości 8150 metrów na tarasach poniżej i w linii spadku drugiego uskoku. Jest oczywiste, że gdyby byli na szczycie, to wobec ogromu drogi, zmęczeniu, niedotlenieni i po ciężkiej nocy nie wróciliby aż tak nisko. Zdecydowanie biwakowaliby powyżej najtrudniejszego miejsca, a więc powyżej drugiego uskoku i bliżej wierzchołka. Zejście rozpoczęliby po wschodzie słońca, a więc zdecydowanie później niż po 5 rano. Zegarek Mallory'ego zatrzymał się więc kilka minut po 17 wieczorem, 8 czerwca 1924 roku.*

*Czy to całkowicie i definitywnie rozstrzyga o pierwszeństwie na Dachy Himalajów?*

*W zasadzie tak, ale jednak przy ciele Mallory'ego nie znaleziono aparatu fotograficznego i zdjęcia Ruth. A to zdjęcie żony obiecał zostawić na samym wierzchołku. Zgubił?*

*No cóż, wątpliwości i piękna legenda niech trwają. Na tym polega ich urok i czar.*

LESZEK CICHY

Leszek Cichy (ur. 1951) – polski alpinista, geodeta, od 1977 roku pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, po 1989 roku bankowiec i finansista. Wspólnie z Krzysztofem Wielickim wszedł po raz pierwszy zimą na Everest w 1980 roku. Jest autorem nowych dróg w górach wysokich. Jako pierwszy Polak skompletował Koronę Ziemi.



## S P I S   T R E Ś C I

Przedmowa .....	9
Prolog .....	17
1. SNICKERSY I HERBATA .....	27
2. MON DIEU! – GEORGE MALLORY! .....	55
3. DYSONANS .....	75
4. MALLORY Z EVERESTU .....	101
5. RATUNEK .....	127
6. ZĘBY WIATRU .....	147
7. DRUGI STOPIEŃ .....	181
8. APOTEOZA .....	211
Podziękowania .....	237
Indeks .....	243





## PROLOG



## David Roberts

**J**ak większość alpinistów, dorastałem w cieniu legendy Mallory’ego i Irvine’a. Opowieść o nich jest najbardziej poruszającym i tajemniczym rozdziałem długiej i bogatej historii wspinaczki wysokogórskiej. Już jako nastolatek wdrapujący się skalną granią w kierunku wysmaganego wiatrem wierzchołka jakiegoś nieoznaczonego na mapach masywu w moim rodzinnym stanie Kolorado często przywoływałem w myślach tę bohaterską parę pnącą się ku niebu 8 czerwca 1924 roku. Dążąc do szczytu Everestu, wspinali się na wysokość, na którą nie dotarł jeszcze żaden człowiek.

George Leigh Mallory, który za dziesięć dni miał skończyć trzydzieści osiem lat, był wówczas najlepszym brytyjskim alpinistą. Obdarzonego niezwykłym wdziękiem, urodą i charyzmą mężczyzną, który nieodmiennie oczarowywał swoich przyjaciół i wielbicieli, ośwładnęła obsesja dotarcia do najwyższego punktu ziemi. Partnerujący mu Andrew „Sandy” Irvine, 22-letni, niezbyt doświadczony wspinacz, studiujący jeszcze na Oksfordzie, okazał się idealnym współuczestnikiem tej wyprawy po Świętego Graala alpinistów.

Słowa napisane później przez dowódcę ekspedycji, w której zginęli Mallory i Irvine, brzmią dziś przekonująco: Mallory był „największym przeciwnikiem, z którym Everest zmuszony był kiedykolwiek się zmierzyć – i z którym przyjdzie mu się zmierzyć w przyszłości”. A Irvine, choć skazany na wieczność w cieniu sławy Mallory’ego, pozostaje – jak odmawiał go inny członek wyprawy – uosobieniem „urodzonego ucznia (...), który był w stanie podążyć wszędzie za swoim mistrzem”.

8 czerwca 1924 roku o godzinie 12:50 Noel Odell wspinający się samotnie na wysokość 7925 metrów jako wsparcie dla dwuosobowego zespołu przeprowadzającego atak szczytowy, przez rozsuniętą na chwilę zasłonę chmur przelotnie dostrzegł dwie sylwetki znajdujące się znacznie powyżej niego, odcinające się ostro na tle nieba i „pokonujące sprawnie i uważnie” stromy, lodowo-skalny uskoki na grani północno-wschodniej. Od szczytu dzieliło je mniej niż 300 metrów. Ta chwila zapisała się

w historii odkryć geograficznych jako prawdopodobnie najbardziej niesamowita i tajemnicza obserwacja postronnego świadka. Po chwili chmury zasłoniły widok i Mallory i Irvine na zawsze przeszli do legendy.

Żaden zaginiony odkrywca XX wieku, może z wyjątkiem Amelii Earhart, nie sprowokował takiej erupcji romantycznych spekulacji jak George Mallory. Wystarczająco wiele trudności nastęrcza odpowiedź na pytanie, co stało się z nim i jego młodym towarzyszem, jaki koniec spotkał tych dwóch odważnych ludzi. Jeszcze bardziej pobudzająco działa na wyobraźnię przypuszczenie, że ta dwójka przed śmiercią dotarła na szczyt Everestu, dwadzieścia dziewięć lat przed Edmundem Hillarym i Tenzingiem Norgayem, których uznano za oficjalnych zdobywców. Jeśli Mallory i Irvine odnieśli sukces, bez wątpienia to im należałoby przypisać autorstwo największego wyczynu w historii wspinaczki wysokogórskiej.

Zagadka Mallory'ego i Irvine'a przekazywana była wszystkim kolejnym pokoleniom alpinistów. Dla mnie, osiemnastolatka, ta łamigłówka przybrała bardziej osobisty wymiar. Jako student pierwszego roku na Uniwersytecie Harvardzkim zacząłem się obracać w kręgach wspinaczy zrzeszonych w uczelnianym klubie wysokogórskim, który w tamtym czasie przyciągał najwybitniejszych wspinaczy w wieku studenckim w kraju. Spośród sześciu czy siedmiu szczególnie utalentowanych i ekscentrycznych przedstawicieli amerykańskiej klasy wyższej, którzy zaliczyli już tak odstrasające kanadyjskie szczyty jak Logan, Waddington i Stiletto Needle, szczególnie jeden stał się dla mnie bohaterem, później mentorem, a w końcu przyjacielem i partnerem.

Z zapuszczoną brodą, umysłem ostrym jak brzytwa i miękkim, łagodnym głosem Rick Millikan wydawał się ulepiony z tej samej gliny, co starożytni wikingowie. Był zamaskowanym obrazoburcą, geniuszem wspinaczki pionowej w skale i lodzie, skłonny do bujania w obłokach niczym rozmarzony przedszkolak. W pewien jesienny weekend w paśmie Shawangunks w stanie Nowy Jork Rick wciągnął mnie na najtrudniejszy i najbardziej ekscytujący wierzchołek skalny, na jakim kiedykolwiek dane mi było się znaleźć; w styczniu przecierał szlak wzdłuż skutego lodem pasma Presidential Range w stanie New Hampshire, podczas gdy

ja próbowałem przetrwać w temperaturze minus 35 stopni Celsjusza, smagany bezlitosnym wiatrem.

Któregoś dnia podczas tego pierwszego roku studiów dowiedziałem się, że Rick jest wnuczkim George'a Mallory'ego. Oczywiście, urodzony w 1941 roku nigdy nie poznał swojego znakomitego przodka. Kiedy jego matka, Clare, najstarsza z trójki dzieci Mallory'ego, była w wieku ośmiu lat, zginął jej ojciec. Miała wiele związanych z nim wspomnień i postarała się o to, by przekazać je swoim trzem synom.

Kiedy już zaprzyjaźniłem się z Rickiem, zacząłem od czasu do czasu przywoływać w rozmowach postać Mallory'ego. Rick był przekonany, że jego dziadek tego odległego, czerwcowego dnia wspiał się na szczyt, ale swoją tezę mógł poprzeć jedynie instynktownymi przeczuciami. „Byli nieźli – powiedział, o ile dobrze to zapamiętałem. – Wiedzieli, co robią tam, na górze”.

Drugim dziadkiem Ricka był Robert Millikan, ten od słynnego eksperymentu z rozpylaniem w powietrzu kropli oleju, który w 1923 roku został uhonorowany Nagrodą Nobla z fizyki. Clare Mallory wyszła za mąż za syna Roberta Millikana, Glenna, po czym pewnego tragicznego dnia 1947 roku podczas wspinaczki w górach Great Smoky Mountains w stanie Tennessee stała się świadkiem nieszczęśliwego wypadku, w którym zginął jej mąż. Moja wiedza na temat tego fatalnego incydentu nie wykraczała poza kilka nagich faktów: ojciec Ricka dostał w głowę spadającym z góry kamieniem, co było pechową konsekwencją niewielkiego błędu popełnionego na niewysokim urwisku na kompletnym odludziu. Zginął na miejscu. Jako dwudziestolatek byłem zbyt nieśmiały i niewyrobiony, by drążyć temat dalej czy prosić Ricka o analizę tego tragicznego zdarzenia, w którym poniósł śmierć jego ojciec. Rick był wówczas jeszcze młodszy niż Clare w chwili, gdy zginął Mallory.

Warto wspomnieć o tym, że chociaż Clare straciła w wypadkach górskich ojca i męża, nie tylko tolerowała uprawianie tego niebezpiecznego sportu przez synów, ale wręcz zaszczepiła w nich tę pasję i z całego serca zachęcała ich do jej pogłębiania. Poznałem Clare podczas wizyt w Berkeley, gdzie wychował się Rick. Wydawała się klasycznym przykładem edwardiańskiego ekscentryzmu – jako kwakierka głęboko oddana

idei pokoju na świecie i bezkompromisowa wolnomyślicielka nietolerująca bredni i nonsensów, odznaczała się swobodą nawet wśród bohemy Berkeley późnych lat 60.

Podczas mojej pierwszej wyprawy na Alaskę na ścianę Wickersham Wall na Mount McKinley w 1963 roku, razem z Rickiem i pięcioma innymi członkami zespołu zostaliśmy uznani za zaginionych i obawiano się, że zginęliśmy (nasz pilot, przedzierając się przez burzowe chmury, dostrzegł pozostawione przez nas ślady ginące w chaosie rumowiska powstałego po zejściu lawiny). W ciągu czterech dni, podczas których nasze losy pozostawały nieznane (obozowaliśmy bezpiecznie wysoko ponad strefą zagrożenia lawinowego), dziennikarze przeprowadzali wywiady z naszymi rodzicami, którzy dawali wyraz swojej rozpaczce i czepiali się resztek nadziei na ocalenie swoich synów. Tylko Clare zdecydowanie nie poddawała się minorowym nastrojom, powtarzając: „Bzdura. Ci chłopcy wiedzą, co robią”.

Trzy lata później, pewnego wrześniowego popołudnia w górach Kichatna leżących na południowy zachód od McKinley Rick i ja znaleźliśmy się w odległości dwunastu metrów od niezdobytego wcześniej, bezimiennego szczytu, kiedy nagle wielka, zwietrzała płyta skalna załamała się pod naszymi stopami. Nie potrafiąc się zatrzymać, zsuwaliśmy się i koziołkowaliśmy wraz z lawiną skalną w kierunku zabójczego urwiska zięjącego poniżej. Mieliśmy tylko chwilę na to, by wyobrazić sobie, jak będziemy spadać – ta wizja czai się w głębi podświadomości nawet najbardziej beztroskiego wspinacza jak jakieś mroczne, atawistyczne wspomnienie – kiedy skały, z którymi osunęliśmy się dobre sto metrów w dół, nagle jakimś cudem przestały się staczać, pozostawiając nas na skraju przepaści.

Nie jestem pewien, czy Rick powiedział matce, jak niewiele dzieliło nas od śmierci, ale już następnego lata wrócił wraz ze mną na Alaskę, by eksplorować niezbadane pasmo, które nazwaliśmy Revelation Mountains. Tym razem zabrał się z nami starszy brat Ricka, George, z którym nigdy wcześniej się nie wspinałem. (George bujał w obłokach jeszcze częściej i wyżej niż Rick; kiedyś na studiach nieumyślnie zamknął jednego ze swoich wykładowców w wolierze dla ptaków).

Przez pięćdziesiąt dwa dni znosiliśmy najgorszą pogodę, jaką mógł na nas zesłać łańcuch Alaska Range. Dopiero kilka miesięcy temu dowiedziałem się, że tego lata Clare po raz pierwszy dosięgły obawy znane każdemu rodzicowi i w bezsenne noce odliczała godziny do naszego powrotu. Kiedy w końcu pojawiliśmy się pod koniec sierpnia, wymogła na Ricku i George'u obietnicę, że w paśmie Revelations nigdy nie będą asekurować się na jednej linii (zawsze to lepiej stracić jednego syna niż dwóch, jakby przyszło co do czego).

Oczywiście bracia Millikan, kiedy już dotarli na lodowiec i wydostali się spod czujnego oka mamy, natychmiast złamali złożoną jej obietnicę. Któregoś razu George i Rick przypuścili atak na przepiękny szczyt, który nazwaliśmy Angel (Anioł), wspinając się szybko granią najeżoną skalnymi wieżami i lodowymi urwiskami. Na noc rozłożyli się w małym namiocie biwakowym rozstawionym na zawieszanej nad przepaścią półce jakieś 300 metrów pod szczytem. Padający deszcz wkrótce zmienił się w deszcz ze śniegiem, a ten w potworną śnieżycę. Przemarznięci i niewyspani spędzili następnego dnia ze zbrocza, co wymagało w tych koszmarnych warunkach – oblodzone powierzchnie gładkiego, śliskiego granitu – użycia liny nawet na prawie poziomych odcinkach. W tej samej śnieżycy, 250 kilometrów na północny wschód, ginęło właśnie siedmiu wspinaczy z wyprawy Joe Wilcoxa uwięzionych pod szczytem McKinley.

Kiedy w maju świat obiegła elektryzująca wiadomość o odnalezieniu na Evereście ciała Mallory'ego, odnowiłem po kilkuletniej przerwie kontakt z Rickiem, George'em i Clare. W miarę ujawniania kolejnych szczegółów pogłębiało się przekonanie Ricka, że jego dziadek przed śmiercią zdołał dotrzeć do najwyższego punktu na ziemi. Clare, licząca wówczas sobie osiemdziesiąt trzy lata, była zainteresowana czymś zupełnie innym. „Początkowo w zasadzie nic nie czułam – powiedziała. – Może tylko tyle, że ciało mojego ojca dzieli od jego duszy ogromny dystans. W kolejnych tygodniach jednak coraz częściej o tym myślałam. Bardzo chciałam dowiedzieć się, jak zginął. Czy umarł spokojnie, sam na sam z własnymi myślami, czy poniósł gwałtowną, brutalną śmierć pełną cierpienia? Żałowałam, że nie mogłam być przy nim w tych chwilach, by ukoić jego ból.

I żałuję, że jego ciało zostało odnalezione. Wolałabym, żeby zostawiono go w spokoju”.

Po wszystkich tych dziesięcioleciach zacząłem mieć poczucie, że w pewnym sensie „znałem” Mallory’ego. Kiedy jednak uzupełniałem informacje na temat tego odkrycia na potrzeby artykułu do czasopisma „National Geographic Adventure”, poznałem człowieka i badacza jeszcze bardziej niezwykłego, charyzmatycznego i nieuchwytnego niż mityczna postać, którą stworzyłem sobie w głowie. Kiedy zaś zaznajomiłem się z członkami wyprawy, którzy ostatniej wiosny postawili sobie za cel rozwiązanie zagadki Mallory’ego i Irvine’a – przed jej rozpoczęciem prawdopodobieństwo znalezienia jakiegokolwiek przedmiotu pochodzącego z 1924 roku, nie mówiąc już o ciele Mallory’ego, szacowałem na 1:10 000 – spotkałem załogę silnych, kompetentnych, lojalnych wobec siebie wspinaczy, z dumą uprawiających nasze niebezpieczne hobby.

W tym zespole wyróżniał się Conrad Anker. To jeden z najlepszych alpinistów świata, z niezwykle urozmaiconym portfolio pionierskich wejść, pozbawiony jednocześnie jakichkolwiek oznak megalomanii charakterystycznej dla górskich supergwiazd. Kiedy go poznałem, ten 36-latek wydał mi się niezwykle skromny; wsłuchiwał się w troski i potrzeby innych równie uważnie, jak w syreni śpiew własnych ambicji. Buddyjska równowaga, która ściągnęła go w Himalaje, wsączyła mu się głęboko w duszę i nappełniła go wewnętrznym spokojem. Ta niewzruszona stałość i świadomość własnej tożsamości pobrzmiwa w tekstach, które Conrad od czasu do czasu publikuje na łamach czasopisma „American Alpine Journal” (Amerykański Magazyn Alpinistyczny), będących unikatowym zapisem jednych z najśmielszych kiedykolwiek dokonanych wejść. W tych sprawnie napisanych, choć niedocenianych kronikach przypomina stylem ucznia przygotowującego przemyślaną wypowiedź dla swoich rówieśników.

Podczas naszej współpracy nad tą książką zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że w pewnym sensie Conrad Anker został ulepiony z tej samej gliny co George Mallory. Stało się jasne, że Conrad ma do opowiedzenia fascynującą historię o wyprawie na Everest z 1999 roku, własną opowieść o Mallorym i o tej górze.



W tej książce Conrad i ja chcemy opowiedzieć o wyprawie człowieka, który korzystając ze wszystkich swoich umiejętności i wsłuchując się w podszepty instynktu ugruntowanego niemal dwiema dekadami ryzykownych, pionierskich wejść, w maju 1999 roku, w zasadzie bez pomocy innych, przyniósł z Everestu więcej tropów do rozwiązania zagadki Mallory'ego i Irvine'a niż wszyscy badacze i teoretycy zagadnienia razem wzięci przez ostatnie siedemdziesiąt pięć lat. Snując opowieść o tej wyprawie, postaramy się – na ile to możliwe z perspektywy czasu – odmalować sylwetkę samego Mallory'ego, ponownie odkryć zaginionego odkrywcę, wizjonera, którego ciało odnalazł Conrad Anker i którego losu możemy wreszcie zacząć się domyślać.

Fragmenty napisane w pierwszej osobie, dotyczące przede wszystkim ekspedycji na Everest z 1999, przypisać należy Conradowi Ankerowi. Autorem fragmentów napisanych w trzeciej osobie, głównie o tematyce historycznej, jest David Roberts.



ROZDZIAŁ 1

SNICKERSY I HERBATA



## Conrad Anker

**U**siadłem, żeby zdjąć raki, bo trawers przez skalną wstęgę powyżej miał być prostszy bez nich. Napiłem się odrobinę napoju węglowodanowego, który trzymałem w butelce na wodę, i łyknąłem pastylkę na kaszel. Na tej wysokości nawilżanie gardła jest bardzo ważne.

Sięgnąłem wzrokiem tak daleko, jak to tylko było możliwe. Na południu i zachodzie rozciągał się Nepal, a linię horyzontu wyznaczały postrzępione górskie szczyty. Przede mną na północy rozplywała się w oddali brązowa i pomarszczona Wyżyna Tybetańska. Wiatr przybierał na sile. Poniżej, po zawietrznej stronie niektórych niższych gór, zaczęły się formować niewielkie obłoczki.

Opanowało mnie nagle silne, niewyjaśnione przeczucie, że coś się wydarzy. Coś dobrego. Odczuwam zazwyczaj zadowolenie, kiedy podczas wspinaczki wszystko rozwija się pomyślnie, ale to było coś innego. Czułem radość. Byłem we właściwym miejscu.

Był 1 maja, 11:45. Znajdowaliśmy się na wysokości prawie 8230 metrów na północnej ścianie Everestu. Czterej pozostali uczestnicy wyprawy byli rozproszeni na zboczu powyżej mnie i posuwali się w kierunku wschodnim. Znajdowali się w zasięgu mojego wzroku, ale poza zasięgiem głosu. Porozumiewaliśmy się za pomocą radiotelefonu.

Przyjąłem raki do plecaka, wstałem, zarzuciłem go na plecy i zacząłem się wspinąć niewielkim zacięciem. I wtedy po lewej stronie kątem oka dostrzegłem skrawek żółto-niebieskiego materiału, przyciśniętego głazem i łopoczącego na wietrze. Uznałem, że warto mu się przyjrzeć. Wszystko, co nie było częścią naturalnego krajobrazu, zasługiwało na uwagę.

Po dotarciu na miejsce zorientowałem się, że tkanina stanowiła prawdopodobnie część namiotu, który wiatr rozerwał i przywiął w zagłębienie za głazem. To był współczesny materiał, nylon. Nie zaskoczyło mnie to. Na Evereście stoi mnóstwo opuszczonych namiotów rozrywanych wiatrem.

Zacząłem uważnie badać wzrokiem teren otaczający mnie z prawej i z lewej strony. Nosilem przyciemnione szkła korekcyjne, więc widzia-

łem wszystko doskonale. Kiedy przyglądałem się badawczo z boku po mojej prawej stronie, jakieś 30 metrów dalej dostrzegłem skrawek bieli. Ten kolor od razu wydał mi się niezwykły. To nie była ołsniewająca biel śniegu odbijającego światło słoneczne. To nie była biel odłamków kwarcytu i kalcytu pojawiających się niespodziewanie tu i ówdzie na północnym zboczu Everestu. To była matowa, absorbująca światło biel przywołująca na myśl marmur.

Podszedłem bliżej i natychmiast rzuciła mi się w oczy naga stopa ułożona piętą do góry, a palcami w dół. Dotarło do mnie, że znalazłem ludzkie ciało.

Podszedłem jeszcze bliżej i zorientowałem się po zszarganej odzieży, że nie były to zwłoki współczesnego wspinacza. To był ktoś z zamierzonych czasów.

Przez dłuższą chwilę nie docierała do mnie waga tego odkrycia. Wszystko odbywało się jakby w zwolnionym tempie. *Czy to sen?* – myślałem gorączkowo. *Czy to się dzieje naprawdę?* Równocześnie pojawiła się spokojna świadomość: *Właśnie po niego tutaj przyszliśmy. To jego szukaliśmy. Sandy'ego Irvine'a.*

Ponieważ wszyscy alpinści przebywający wówczas na górze mogli przysłuchiwać się naszym radiowym konwersacjom, uzgodniliśmy wcześniej zestaw zakodowanych komunikatów. Nie chcielibyśmy, by wiadomość o naszym odkryciu została puszczona w świat przez uczestników innych wypraw – o ile oczywiście cokolwiek udało się nam znaleźć.

„Boulder” był nazwą kodową ciała. Usiadłem więc na plecaku, wyjąłem radiotelefon i wychrypiałem: „Jak ostatnio wybrałem się bulderować<sup>1</sup> w butach z ćwiekami, to zleciałem”. To było pierwsze zdanie, które przyszło mi do głowy. Użyłem słowa ćwieki, bo stary ćwiekowany but w stylu tych, które wyszły z użycia już w latach 40., cały czas był zasznurowany na prawej nodze leżącego przede mną człowieka. Również z tego względu nie miałem wątpliwości, że ciało nie należało do współczesnego wspinacza.

---

<sup>1</sup> Bulderowanie, pochodzące od ang. *bouldering* slangowe określenie wspinaczki po kilku-metrowych blokach skalnych bez asekuracji liną (przypr. tłum.).

Wszyscy mieliśmy radiotelefony wetknięte w puchowe kombinezony, więc niełatwo było usłyszeć nadawane wiadomości. Z czterech przeszkakujących teren kolegów tylko Jake Norton pochwycił jakikolwiek fragment mojej wiadomości, a wszystko, co usłyszał, to „ćwiaki”. Widziałem go jakieś pięćdziesiąt metrów wyżej, sporo na wschód ode mnie. Jake usiadł, wyszarpnął z kombinezonu radio i nadał: „O co chodzi, Conrad?”

„Zejdź na dół” – odpowiedziałem. Patrzył teraz na mnie, więc zacząłem machać kijkiem narciarskim, który zawsze noszę ze sobą na dużych wysokościach. „Zjedźmy po snickersie i napijmy się razem herbaty”.

Jake zrozumiał, że znalazłem coś ważnego, ale pozostała trójka nadal trwała w nieświadomości. Próbował machać, krzyczeć i na różne sposoby zwrócić ich uwagę, ale to nic nie dało. Na wysokości 8200 metrów n.p.m. z powodu niedostatku tlenu zamykasz się we własnym świecie, a ten zewnętrzny zdecydowanie traci na realności. Po raz kolejny włączyłem radio. Tym razem postarałem się, by moja wiadomość brzmiała nagłoco: „Zwołuję natychmiastowe, obowiązkowe spotkanie zespołu!”

Teren, który przeszukiwaliśmy, był dość zdradliwy; nachylone płyty łupka, niektóre przyprószone śniegiem. Gdyby ktoś zaczął spadać w niewłaściwym miejscu, mógłby wylądować 2000 metrów niżej na lodowcu Rongbuk. Pozostałym chłopcom zajęło więc chwilę pokonanie drogi w dół i dobiecie do mnie.

Przetrzęsnałem plecak w poszukiwaniu aparatu fotograficznego. Tego ranka w obozie V przyszło mi do głowy, żeby zapakować aparat do plecaka, ale miałem dwa prawie identyczne woreczki na różne drobne przedmioty i okazało się, że zamiast aparatu zapakowałem zapasowe baterie do radia. No cóż, pomyślałem sobie, może jakbym miał ze sobą aparat, to dla odmiany nie znalazłbym ciała. Tak już po prostu czasem bywa.

Kiedy opowiedziałem o tym koledze, zapytał, czy czytałem opowiadanie Faulknera *Niedźwiedź*<sup>2</sup>. Nie czytałem, ale później, po przeczyta-

---

<sup>2</sup> Uznawana za jedną z najlepszych krótkich form literackich literatury amerykańskiej ukazała się w 1942 r. w ramach zbiorów opowiadań *Zstęp. Mojżesz*. Przedstawia historię rodziny Luciusa Quintusa Carothersa McCaslina, którego czyni – zatrudnianie niewolników, cudzołóstwo i nadmierne wykorzystywanie rodzinnej posiadłości w fikcyjnym hrabstwie Yoknapatawpha – wpływają na pięć pokoleń jego potomnych (przyp. red.).

niu, dostrzegłem analogię. Najlepsi myśliwi polujący w głębokich lasach Missisipi nigdy nie widzieli nawet przez moment Starego Bena – wielkiego, na poły legendarnego niedźwiedzia, który przez lata siał spustoszenie w stadach zwierząt hodowanych przez ludzi. Dopiero wówczas, gdy zagubiony w głębokim lesie Ike McCaslin porzucił wszystko, na czym wcześniej polegał – odłożył nie tylko strzelbę, ale też kompas i zegarek – dostąpił zaszczytu nieoczekiwanego spotkania na otwartej przestrzeni ze Starym Benem: „Nie wyłonił się z lasu, nie pojawił się, lecz po prostu stał tam, nieruchomy, wpisany w słoneczne cętki tego zielonego, bezwietrznego południa”.

Kiedy tak siedziałem na plecaku i czekałem na pozostałych, poczułem ogromny szacunek dla tego martwego człowieka rozciągniętego przede mną. Leżał twarzą do ziemi, z głową wyżej niż nogi, wmarznięty w zbocze. Spod skórzanej pilotki, którą miał na głowie, wystawała kępka włosów. Jego ramiona były uniesione, a palce wbite w skalne osypisko, jakby próbował powstrzymać swój upadek. Wydawało się prawdopodobne, że jeszcze żył, kiedy znalazł się w tej pozycji. Na jego dłoniach nie było rękawiczek; później miałem spędzić długie godziny na rozmyśleniach o tym, co to mogłoby oznaczać. Zdjąłem rękawiczki, by porównać nasze dłonie. Mam krótkie, grube palce, a jego palce były długie i wąskie. Miał bardzo opalone ręce, prawdopodobnie po wielu tygodniach marszu aż z Dardżylingu przez łańcuch Himalajów w kierunku północnej ściany Everestu.

Wijące przez dziesięciolecia wiatry zdarły z jego pleców większą część odzieży. Został w naturalny sposób zmumifikowany – ten skrawek alabastru, który dostrzegłem z odległości 30 metrów, to była naga, idealnie zachowana skóra pleców. Nadal mogłem dostrzec potężne, wyraźnie zarysowane mięśnie jego pleców i ramion i zabarwione błękitno siniaki.

Barki i górną część ramion pokrywały nadal resztki sześciu czy siedmiu warstw odzieży – koszul, swetrów i kurtek z wełny, bawełny i jedwabiu. Biały, pleciony sznur bawełniany o średnicy mniej więcej centymetra – wielokrotnie słabszy niż jakakolwiek wykorzystywana dziś lina – opłatał go w pasie i owijał się wokół lewego ramienia. Mniej więcej trzy metry od jego talii widziałem poszarpany koniec sznura w miejscu, w którym pękł. Zorientowałem się więc do razu, że prawdopodobnie był związany



ze swoim partnerem i spadł z dużej wysokości. Lina pękła zapewne albo wtedy, gdy odpadł od ściany, albo wtedy, gdy liną ocierającą się o krawędź skały próbował go asekurować jego partner.

Prawy łokieć wyglądał tak, jakby uległ przemieszczeniu albo został złamany. Był wbity w oсыpisko i zgięty w nienaturalnej pozycji. Prawa łopatką była lekko zdeformowana. Powyżej talii po prawej stronie żeber widniał błękitny siniak od pociągniętej w górę liny, która przejęła szarpnięcie upadku.

Prawa noga była paskudnie złamana, zarówno kość strzałkowa, jak i piszczelowa. W zasznurowanym ciasno bucie leżała wygięta pod groteskowym kątem. To nie były otwarte złamania – kości nie przebiły skóry – ale wyglądały fatalnie. Doszedłem do wniosku, że prawa strona ciała doświadczyła najpoważniejszych obrażeń, przejmując impet upadku. Wyglądało to tak, jakby w ostatnim momencie mężczyzna uniósł lewą nogę wyżej niż złamaną prawą, żeby uchronić ją od dalszych urazów. Być może lewy but spadł mu z nogi podczas upadku, a może z czasem rozleciał się i odpadł od ciała. Ocalał z niego tylko język, wciśnięty między odślonięte palce lewej stopy i obcas prawego buta.

Wielkie, czarne kruki żerujące w wysokich partiach Himalajów wydziobały w prawym pośladku znaczących rozmiarów dziurę, wystarczającą dużą, by zmieścił się w niej cały taki ptak. Przez powstały otwór wyjadły większość trzewi, patrosząc po prostu całe ciało.

Mięśnie lewej łydki i ud stały się włókniste i wysuszone. Najwyraźniej to właśnie dzieje się z mięśniami w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat. Skóra rozwarstwiła się i w niektórych miejscach nastąpiło przerwanie jej ciągłości, ale z jakiegoś powodu kruki zostawiły te fragmenty ciała w spokoju.

Po piętnastu czy dwudziestu minutach na miejsce dotarł Jake Norton, a po nim Tap Richards, Andy Politz, wreszcie Dave Hahn. Nie mówili dużo, najwyżej: „O rany, dobra robota, Conrad” albo „To musi być Sandy Irvine”. Dave powiedział później: „Z wrażenia zacząłem nieustannie mrugać”, a Tap przypomniał sobie: „Zwaliło mnie z nóg. To było najwyraźniej ciało, ale wyglądało jak grecki albo rzymski marmurowy posąg”.

Chłopaki zrobili zdjęcia, nakręcili krótki film wideo i porozmawiali przez chwilę o szczegółach tego, co zastali. Wydawało się, że jakieś tabu powstrzymuje nas od dotknięcia zwłok. Minęło pewnie z pół godziny, zanim znaleźliśmy w sobie tyle odwagi, by ich dotknąć. Uzgodniliśmy jednak, że jeśli znajdziemy Mallory'ego albo Irvine'a, odkopimy go z takim profesjonalizmem, na jaki tylko będzie nas stać w tych okolicznościach, aby sprawdzić, czy nasze znalezisko może rzucić nowe światło na zagadkę losów tych dwóch wspinaczy. Uzyskaliśmy nawet zgodę od Johna Mallory'ego (syna George'a) na pobranie próbki DNA.

Tap i Jake wykonali większość roboty związanej z odkopaniem ciała. Zamierzaliśmy wykroić niewielkie kwadraty odzieży, które chcieliśmy zabrać do bazy do zbadania. Prawie natychmiast na kołnierzyku jednej z koszul Jake znalazł metkę z nazwiskiem. Napisane było na niej „G. Mallory”. Jake spojrzął na nas i powiedział: „To dziwne. Dlaczego Irvine miałby nosić koszulę Mallory'ego?”

## **David Roberts**

Rankiem 8 czerwca 1924 roku George Mallory i Sandy Irvine wyruszyli z obozu VI założonego na wysokości 8170 metrów na grani północno-wschodniej. Dzień wcześniej tragarze, którzy wnieśli sprzęt i jedzenie do obozu, znieśli na dół wiadomość od Mallory'ego adresowaną do filmowca ekspedycji, Johna Noela, który zaszył się bezpiecznie w obozie III, ponad 1500 metrów niżej.

Drogi Noelu,

Prawdopodobnie wyruszymy jutro wcześniej rano (ósmego), żeby mieć dobrą pogodę. Spokojnie możesz zacząć nas wypatrywać o 8 wieczorem, albo przekraczających skalną wstęgę pod piramidą szczytową, albo idących w górę linią horyzontu.

Twój

G. Mallory

Noel miał obiektyw 600 milimetrów, którego członkowie wyprawy używali jako teleskopu, by śledzić ruchy swoich kolegów wysoko na Evereście. Wszyscy kolejni komentatorzy zakładali, podobnie jak przyjął Odell po przeczytaniu notatki, że „8 wieczorem” Mallory’ego było jedynie nieumyślną pomyłką, że tak naprawdę chciał napisać „8 rano”. W tym przypadku szacunki Mallory’ego należało uznać za nadmiernie optymistyczne, ponieważ w początkach ery himalaizmu pary wspinaczy rzadko wychodziły z wysoko założonych obozów przed 6:30 rano.

Ekspedycja z 1924 roku była trzecią z serii trzech ekspedycji – wszystkie dowodzone były przez Brytyjczyków – na najwyższą górę świata. Podjęta została po skrupulatnym rekonesansie w 1921 roku i śmiałym ataku przeprowadzonym rok później. Tylko Mallory był członkiem wszystkich trzech wypraw. A jednak pogoda w maju 1924 roku okazała się paskudna, niweczając wysiłki podejmowane przez bardzo silny zespół, który próbował choćby założyć obóz umożliwiający przypuszczenie ataku szczytowego. Później plantatorzy herbaty w Dardżylingu zapewniali, że przez co najmniej dwadzieścia wcześniejszych lat „o tej porze roku nie mieli do czynienia z tak fatalną pogodą”.

Kiedy nadzieje wspinaczy nieomal zgasły, góra zlitowała się nad nimi, ofiarowując im kilka dni znakomitej pogody. Każdego dnia mężczyźni budzili się z lękiem, wypatrując nieuniknionego monsunu, który – zwykle rozpoczynając się około 1 czerwca – spowłby Himalaje na cztery miesiące całunem nieprzerwanych opadów gęstego śniegu.

Kiedy Mallory i Irvine zamknęli swój płócienny namiot i ruszyli wsmaganą wiatrem granią, cali kipieli nadzieją i oczekiwaniem na to, co miało się zdarzyć. Zaledwie cztery dni wcześniej inny członek ich zespołu, E.F. „Teddy” Norton, podjął waleczną próbę zdobycia szczytu zakończoną na wysokości 8574 metrów. Nikt nigdy nie wspiął się wyżej. Norton został zmuszony do odwrotu zaledwie 274 metry pod szczytem. Odważnie zaatakował Everest bez użycia butli tlenowych. Mallory i Irvine korzystali z dodatkowego tlenu i chociaż Mallory początkowo sceptycznie odnosił się do jego skuteczności, podczas ekspedycji z 1922 roku na własnym przykładzie przekonał się, że himalaishi, którzy wysoko na Evereście oddychali dodatkowym tlenem z butli, mogli z łatwością poruszać się dwukrotnie szybciej niż ci, którzy nie korzystali z tej pomocy.

Podczas ataku z 1924 roku, podobnie jak podczas dwóch wcześniejszych wypraw, Mallory okazał się najsilniejszym i najbardziej ambitnym wspinaczem. Everest zawładnął nim całkowicie. W liście do żony, Ruth, napisanym sześć miesięcy wcześniej z Chiblung, na podejściu pod Everest, przewidywał: „Jest w zasadzie nie do pomyślenia (...), żebym nie dotarł na szczyt. Nie wyobrażam sobie, bym mógł zejść na dół pokonany”.

Nawet jeśli 22-letniego Irvine’a zraziła pycha Mallory’ego, nie dał tego po sobie poznać. W swoim dzienniku zaledwie cztery dni przed podjęciem własnej próby, czekając na wynik śmiałego ataku Teddy’ego Nortona i towarzyszącego mu Howarda Somervella, Irvine napisał: „Mam nadzieję, że dotrą na szczyt, ale, na Boga, ja też chciałbym dostać swoją szansę”.

Już w 1924 roku obserwatorzy wyprawy zadawali sobie pytanie, dlaczego Mallory wybrał właśnie Irvine’a na swojego partnera podczas drugiej próby wejścia na szczyt zamiast znacznie bardziej doświadczonego Noela Odella, który w tygodniach poprzedzających atak szczytowy dowiódł znakomitej kondycji na dużych wysokościach. Irvine miał bardzo niewielkie doświadczenie we wspinaczce, a na koncie jedynie udział w ekspedycji badawczej na Spitsbergen. (W liście do Ruth Mallory dał wyraz swoim obawom: „Szkoda, że Irvine nie spędził chociaż jednego sezonu w Alpach”). Ale na Evereście młody oksfordczyk okazał się twardszy niż wielu jego bardziej doświadczonych kolegów. Nie skarżył się na

nadmiar pracy i był znakomitym towarzyszem. Pełnił również funkcję kogoś w rodzaju złotej rączki, bowiem w terenie rozłożył na części aparaturę tlenową i złożył ją ponownie, nadając jej lżejszą i bardziej wydajną formę. A ponieważ tlen miał być kluczem do bezkompromisowego ataku Mallory'ego na szczyt, zabranie ze sobą Irvine'a miało swoje uzasadnienie.

Tego dnia, 8 czerwca 1924 roku, spośród pozostałych członków zespołu w wyższych partiach zbocza znajdował się tylko Odell wspinający się samotnie do obozu VI jako wsparcie dla pary szturmującej szczyt. Z zawodu geolog, tego dnia penetrował północną ścianę zygzakami, poszukując nietypowych form skalnych. Późnego ranka odniósł małe prywatne zwycięstwo, ponieważ tam, w jednym z najbardziej jałowych miejsc na ziemi, znalazł pierwszą skamielinę odkrytą kiedykolwiek na Evereście.

O 12:50 po południu Odell wszedł na niewielką grań na wysokości mniej więcej 7930 metrów dokładnie w chwili, w której chmury na moment nieoczekiwanie się rozsunęły. Podniósł wzrok i stał się świadkiem sceny, która od tego momentu miała uwodzić i czarować wszystkich wynawców Everestu. Jak później napisał:

Zobaczyłem całą grań szczytową, odsłoniętą na moment piramidę szczytową i jej wierzchołek. Zauważyłem daleko na śnieżnym zboczu prowadzącym w kierunku czegoś, co wydawało się ostatnim uskokiem u podstawy piramidy szczytowej, niewielki obiekt poruszający się w kierunku skalnego uskoku. Za nim spostrzegłem drugi obiekt, który niebawem wspiął się na szczyt uskoku. (...) Widziałem, że poruszali się sprawnie i uważnie, jakby starali się nadrobić stracony czas.

Po chwili chmury zasłoniły widok. Odell wspiął się do obozu VI, gdzie znalazł, ku swemu zaniepokojeniu, fragmenty aparatury tlenowej rozrzucone po namiocie. Mogło to oznaczać, że Irvine podjął w ostatnim momencie rozpaczliwą próbę zmiany konfiguracji aparatu. Odell był poruszony tym, że widział parę swoich przyjaciół sporo poniżej piramidy szczytowej prawie o pierwszej po południu, opóźnioną o pięć godzin w stosunku do niefrasobliwych szacunków Mallory'ego. Popołudniowa

śnieżyca przycichła, ale teraz Odell nie był już w stanie dostrzec żadnych śladów ludzkiej obecności na górnej grani skąpanej w ciepłym świetle słońca. Wdrapał się jakieś sześćdziesiąt metrów powyżej obozu, gwiżdżąc i jodlując na wypadek, gdyby Irvine i Mallory, schodząc, zbliżali się do obozu. A potem ruszył z ciężkim sercem w dół zbocza, tak jak zarządził Mallory, ponieważ niewielki namiot w obozie VI nie pomieściłby trzech wspinaczy.

Podczas następnych dwóch dni, dowodząc niezwykłej kondycji, Odell wspiął się najpierw do obozu V, a potem samotnie z powrotem do obozu VI. Kiedy zastał namiot dokładnie w takim samym stanie, w jakim pozostawił go 8 czerwca, zrozumiał, że doszło do najgorszego. Ułożył dwa śpiwory na śniegu w kształcie litery T. Był to umówiony wcześniej sygnał dla członków zespołu prowadzących obserwację z dołu, że nie ma już nadziei.

W ciągu siedemdziesięciu pięciu lat, które minęły od wycofania się ekspedycji z 1924 roku ze zboczy Everestu, pojawiły się zaledwie dwie pewne informacje, które mogły rzucić nowe światło na tajemnicze zaginięcie Mallory'ego i Irvine'a, ale każda z nich była równie zwodnicza, jak widok dwóch postaci odcinających się na tle nieba, które dostrzegł Odell. W 1933 roku, podczas pierwszej od czasów wyprawy Mallory'ego ekspedycji na Everest, Percy Wyn Harris znalazł czekan leżący na skalnej płycie około 250 metrów przed miejscem, które zyskało nazwę Pierwszego Stopnia, znacznie poniżej terenu, na którym parę wspinaczy dostrzegł Odell 8 czerwca 1924 roku o godzinie 12:50. Najwyraźniej czekan należał do Irvine'a albo Mallory'ego, ale jako dowód rzeczowy był wściekle wręcz niejednoznaczny. Czy jeden z nich upuścił go podczas wejścia? A może został świadomie odłożony na bok, jako niepotrzebny na przeważnie skalistym terenie rozciągającym się wyżej? A może, w czarnym scenariuszu, czekan znaczył miejsce śmiertelnego wypadku, do którego doszło podczas zejścia, kiedy to jeden ze wspinaczy odrzucił go, by podjąć daremną próbę zaasekurowania spadającego partnera?

Od 1938 roku, w którym to Brytyjczycy przeprowadzili ostatnią przedwojenną ekspedycję, do roku 1960, kiedy to chiński zespół dokonał

rzekomo pierwszego wejścia na Everest od strony północnej, nikt nie podejmował próby zdobycia góry od strony tybetańskiej. Dopiero w 1979 roku Chiny wydały pierwsze zezwolenia dla obcokrajowców na wejście na Everest od strony swojej „prowincji”, Tybetu. Tego roku pojawiła się kolejna tajemnicza wskazówka dotycząca śmierci Mallory’ego i Irvine’a.

Lider japońsko-chińskiego zespołu wspinaczy, Ryoten Hasegawa, odbył wywołującą wiele spekulacji rozmowę z jednym z uczestniczących w wyprawie Chińczyków, Wangiem Hongbao. Wang powiedział Hasegawie, że cztery lata wcześniej, w 1975 roku, podczas drugiego ataku Chińczyków na Everest, wyszedł na krótką przechadzkę z obozu VI na wysokości 8230 metrów. Po dwudziestu minutach od opuszczenia namiotu natknął się na ciało wspinacza, który najwyraźniej spadł z większej wysokości. Był to, jak twierdził, „stary angielski nieboszczyk”. Ubrania mężczyzny sparciały i rozpadły się na wiejącym przez dziesięciolecia wietrze. Leżał na boku i kruki wydziobały mu jeden z policzków.

Rozmowa toczyła się w językowym chaosie japońszczyzny Hasegawy i chińszczyzny Wanga. Hasegawa zastanawiał się, czy zmarły mógł być Rosjaninem z rzekomej ekspedycji podjętej przez Rosjan w tajemnicy w 1952 roku (pogłoski o niej okazały się wyssane z palca), podczas której miało zginąć sześciu wspinaczy, ale Wang żarliwie zaprzeczał, powtarzając: „Anglik, Anglik!”.

Hasegawa zorientował się, że ciało mogło należeć do Mallory’ego albo do Irvine’a. Nie zdążył jednak zadać Wangowi dalszych pytań, bo następnego dnia Chińczyk zginął, zmieciony lawiną do szczeliny lodowej, pozostawiając nierozwiązaną niepokojącą zagadkę.

Podczas dwóch ostatnich dziesięcioleci dziesiątki wypraw atakowały Everest od północy. Wszyscy ich członkowie wypatrywali niestrudzenie jakichkolwiek śladów zaginionych wspinaczy – na próżno. Dla amerykańskiego himalaisty i historyka w jednej osobie, Toma Holzela, zagadka przybrała kształt obsesji. Po wyczerpującym śledztwie zawęził obszar poszukiwań do sporych rozmiarów czworokąta na północnej ścianie, poniżej grani, którą podążali Irvine i Mallory. W 1986 roku Holzel zorganizował pierwszą ekspedycję, której celem były systematyczne poszukiwania zaginionej pary. W jej składzie znaleźli się tak wytrawni wspinacze, jak

David Breashears, Sue Giller i Dave Cheesmond, ale fatalna pogoda nie pozwoliła im wspiąć się powyżej 7955 metrów, pozostawiając ich prawie trzysta metrów poniżej strefy poszukiwań Holzela. (Z perspektywy czasu nie ma wątpliwości, że poszukiwania w sezonie jesiennym, takie jak te podjęte przez wyprawę z 1986 roku, były skazane na niepowodzenie ze względu na ogromne ilości śniegu spadające w porze nieuniknionego letniego monsunu).

Przed wyprawą Holzel podsumował całość swoich badań w postaci wątlej hipotezy, którą wyłożył w końcowym rozdziale książki *First on Everest: The Mystery of Mallory and Irvine* (Pierwsi na Evereście: Tajemnica Mallory'ego i Irvine'a), napisanej wspólnie z Audrey Salkeld. Według Holzela, Mallory i Irvine zdali sobie sprawę z tego, że skończy im się tlen na długo przed tym, zanim dotrą do szczytu. Mallory był, zdaniem Holzela, silniejszym wspinaczem, Irvine'a zaś prawdopodobnie onieśmieliło wyzwanie znacznie wykraczające poza jego wcześniejsze doświadczenia. Tak czy inaczej, Irvine oddał swój zapas tlenu partnerowi i zaczął schodzić, a Mallory podjął samotną wspinaczkę na szczyt.

Porwany własną teorią Holzel opisał ją tak, jakby odnotowywał niewątpliwe fakty, a nie snuł przypuszczenia na podstawie zgromadzonej wiedzy:

O pierwszej rozdzielili się. Mallory szybko ruszył w kierunku piramidy szczytowej Everestu. Irvine zawrócił, pokonał Pierwszy Stopień i rozpoczął trawers płyt ściany północnej. (...) Być może po kilku niewielkich potknięciach, po których zdołał odzyskać równowagę, ziemia nagle usunęła mu się spod nóg. Obrócił się, by powstrzymać zjazd wbiciem czekana w zbocze, ten jednak wysunął się z jego zmęczonej dłoni. Przekoziółkował prawie trzy metry, by w końcu wylądować na zaśnieżonej półce poniżej.

Holzel był przekonany, że Mallory dotarł na szczyt, a następnie zmarł z wycieńczenia na biwaku, którego nie był w stanie uniknąć, albo spadł, prawdopodobnie aż na lodowiec Rongbuk.



Po 1986 roku większość osób zainteresowanych tematem podważała opinię Holzela, że Mallory dotarł do szczytu. Jednak koncepcja, zgodnie z którą Mallory i Irvine rozdzielili się, a Irvine upuścił czekan i ześlizgnął się na spotkanie ze śmiercią na północnej ścianie, spotkała się z powszechną aprobatą. A zatem ciało, które Wang Hongbao znalazł w pobliżu obozu VI, musiało należeć do Irvine'a. Z tego właśnie powodu w maju wszystkich pięciu poszukiwaczy przyglądających się „marmurowemu posągowi” zamrożonemu na osuwisku twarzą w dół żywiło przekonanie, że patrzy na Sandy'ego Irvine'a.

Chcącym na dobre rozstrzygnąć kluczowe zagadnienie, czy Mallory i/lub Irvine dotarli na szczyt w 1924 roku, pozostawały tylko dwie możliwości. Pierwsza: należało natrafić pod szczytem na jakąś pozostałość – sprzęt, pamiątkę, notatkę należącą bez wątpienia do jednego z mężczyzn, mając świadomość, że w ciągu ostatnich czterdziestu sześciu lat setki wspinaczy, którzy dotarli na szczyt, nie znaleźli niczego w tym rodzaju. (Kiedy Edmund Hillary szukał śladów poprzedników w 1953 roku, spenetrował wzrokiem teren pod północną granią i orzekł, że nie sposób się wspiąć tą drogą).

Druga możliwość oparta jest na szalonym domyśle z gatunku tych, które zazwyczaj można znaleźć jedynie na kartach książek Arthura Conan Doyle'a. Wiemy, że Mallory miał ze sobą aparat fotograficzny Kodak Vestpocket. Gdyby udało się odnaleźć aparat i wywołać głęboko zamrożony od 1924 roku film, zdjęcie zrobione ze szczytu – wizerunek takich gór jak Ama Dablam czy Lhotse, na przykład, niewidocznych z żadnego miejsca na północnej ścianie Everestu – rozstrzygnęłoby tę sporną kwestię. (W 1897 roku trzyosobowa szwedzka ekspedycja kierowana przez Salomona Andrée zaginęła na Arktyce podczas próby dotarcia balonem na biegun północny. Trzydzieści trzy lata później ciała mężczyzn znaleziono na odległej wyspie Kvitøya. Doskonale zachowane w aparacie zdjęcia udokumentowały ostatnie dni trzyosobowego zespołu i serię niefortunnych zdarzeń, które przyczyniły się do ich śmierci).

W ciągu kilku ostatnich lat młody niemiecki student geologii podjął trop porzucony przez Holzela. 27-letni Jochen Hemmleb jest wspinaczem o dość skromnych umiejętnościach, ale jego pasja badawcza dopro-

wadziła do odkrycia szczegółów, które usunęły w cień nawet obsesyjne dociekania Holzela. Hemmleb, zdeklarowany wyznawca angielskiej pisarki Audrey Salkeld (będącej światowym autorytetem w kwestiach dotyczących Mallory'ego), zafascynował się sagą z 1924 roku. Z jednego kiepskiej jakości zdjęcia opublikowanego w dziwacznej książce wydanej dla uczczenia wyprawy Chińczyków z 1975 roku wywnioskował, że tego roku obóz VI został założony w zupełnie innym miejscu niż obóz VI prawie wszystkich pozostałych wypraw. Uważnie śledząc szczegóły znajdujące się na drugim planie, Hemmleb uznał, że może oszacować prawdopodobną lokalizację efemerycznego obozu. A zatem poszukiwania ciała znalezionej przez Wanga Hongbao powinny koncentrować się na obszarze ograniczonym dystansem 20-minutowej przechadzki z tego obozu.

W 1998 roku Hemmleb nawiązał kontakt z przewodnikiem po Mount Rainier, Erikiem Simonsonem, który wszedł na Everest od północnej strony w 1991 roku. Zarażony zapalem Niemca, Simonson zgromadził zespół wspinaczy i grupę sponsorów. Zespół składał się w większości z przewodników na Mount Rainier, ale w ostatnim momencie udało mu się pozyskać prawdziwą gwiazdę, Conrada Ankera, którego osiągnięciom, ryzykownym, pionierskim wejściom na odległe szczyty od Patagonii po Karakorum, mogło dorównać zaledwie dwóch czy trzech Amerykanów. BBC i NOVA zgodziły się wspólnie wyprodukować film o wyprawie, a strona internetowa MountainZone z siedzibą w Seattle zgodziła się donosić w codziennych meldunkach z bazy o jej postępach.

Większość obserwatorów uznała tę ekspedycję za jeszcze jeden fortel – podobny do kampanii zbiórki pieniędzy na badania medyczne albo zbierania śmieci po innych wyprawach – którego podstawowym celem było sfinansowanie kosztownego wypadu na najwyższą górę świata. Nawet jeśli Simonsonem i Hemmlebem kierowała szlachetna motywacja, po wszystkich tych ekspedycjach, które na przestrzeni lat schodziły wzdłuż i wszerz północną ścianę Everestu, szansa znalezienia jakiegś nowej rzeczy z wyprawy 1924 roku wydawała się nieskończenie mała.

Sam Anker podczas miesięcznego wypadu w niezdojbyte wieże Antarktydy w 1997 roku nieskrępowanie szydził z cyrku, który od lat odby-

wa się na zboczach Everestu. W marcu 1999 roku, tuż przed wyjazdem Anker do Nepalu, jeden z jego przyjaciół zaprosił go na obiad.

„Co planujesz, Conrad?” – zapytał przy kawie.

„Wyjeżdżam do Tybetu. Mały trekking na dużej wysokości”.

„Kajlas?” – zapytał przyjaciel, przywołując nazwę słynnej świętej góry będącej celem pielgrzymek wyznawców buddyzmu i hinduizmu.

„Nie, trochę wyżej – odpowiedział z zażenowaniem Anker. – Wybieram się na Everest”.

### Conrad Anker

Naszym priorytetem było zlokalizowanie śladów Irvine'a i Mallory'ego. Większość chłopaków chciała wejść na szczyt, ale Eric Simonson – „Simo”, jak go nazywaliśmy – podkreślał, że poszukiwania stanowią podstawowy cel naszego pobytu na Evereście.

Dopiero 30 kwietnia założyliśmy obozy i poręczówki i ogłosiśmy gotowość do rozpoczęcia poszukiwań. Założenie poręczówek wymaga zamocowania lin o niewielkim przekroju na większej części trasy. Liny te, pozostające na miejscu przez całą wyprawę, zabezpieczają, ułatwiają i przyspieszają wejścia i zejścia.

Ogromne nadzieje wiązaliśmy z tym, że opady śniegu poprzedniej zimy były nadzwyczaj skąpe. Już wyglądając przez okienka samolotu, którym lecieliśmy do Katmandu, zorientowaliśmy się, że zbocza są nagie i odsłonięte jak nigdy. Kiedy dotarliśmy do bazy, Simo, który wcześniej uczestniczył w sześciu ekspedycjach na Everest, nie mógł uwierzyć w panujące warunki – jak daleko ludzie sięgali pamięcią, góra nigdy nie była tak sucha. Przez cały kwiecień mieliśmy naprawdę świetną pogodę. Jeśli kiedykolwiek zdarzył się sezon idealny na poszukiwania, to była to właśnie wiosna 1999 roku.

O 5:15 rano 1 maja, akurat kiedy zaczynało świtać, nasza piątka – Andy Politz, Tap Richards, Jake Norton, Dave Hahn i ja – wyruszyła z obozu V założonego na wysokości 7800 metrów. Wiał przesywający wiatr, a większość drogi zaplanowanej do przejścia o poranku wypadła

w cieniu, więc było dość zimno. Wspięliśmy się normalną trasą do obozu VI na wysokości 8230 metrów, gdzie dotarliśmy około 10:30.

Postanowiłem nie korzystać z dodatkowego tlenu. Chciałem się zorientować, jak mój organizm będzie funkcjonować na tej wysokości. Dave, z którym wspinałem się na Antarktydzie, był nieco zmartwiony moją decyzją. Uważał, że byłbym bardziej skuteczny, gdybym wspomagał się tlenem z butli. Mimo wszystko dotarłem do obozu VI przed nim. Skomentował to krótko: „No cóż, najwyraźniej tego nie potrzebujesz”.

Zarówno Dave, jak i Andy wspięli się wcześniej na Everest od strony północnej. Andy był na Evereście już czterokrotnie. Jeśli o mnie chodzi, nigdy wcześniej nie wszedłem tak wysoko. Największą wysokością, na jaką kiedykolwiek się wspiąłem, było 7300 metrów podczas nieudanej wyprawy na Annapurnę IV. Najwyższym zdobytym przeze mnie szczytem był natomiast Latok II w paśmie Karakorum o wysokości 7108 metrów.

Od obozu VI rozpoczęliśmy trawers na prawo, czyli w kierunku zachodnim, w stronę obszaru poszukiwań nakreślonego przez Jochena Hemmleba. Zrobił na mapie kółko pokrywające teren znajdujący się w odległości najwyżej 20 minut drogi od miejsca, w którym – jego zdaniem – założony został chiński obóz VI podczas wyprawy z 1975 roku. Simo ocenił wielkość tego obszaru na równy dwunastu boiskom piłkarskim. Nie było szans, żeby nasza piątka zdołała przeszukać tak rozległy teren w ciągu jednego dnia. Uważałem nasze przedsięwzięcie za coś w rodzaju rekonesansu. Kiedy skierowaliśmy się w tamtą stronę, pomyślałem: „Fajnie, że udało nam się tu dotrzeć. Nikt nigdy nie szukał tak wysoko”.

Jochen przekazał nam coś, co określał mianem „podręcznika poszukiwacza”: ośmiostronicowy, zalaminowany notes ze spiralnym grzbietem, wyjaśniający nam, jak, dlaczego i gdzie należy szukać. Początkowo mieliśmy bardzo śmiałe wyobrażenia na temat tego, w jaki sposób będziemy systematycznie przeszukiwać cały ten teren. Zamierzaliśmy dotrzeć do najwyższego punktu, a następnie rozstawić się co dwadzieścia metrów i zacząć schodzić. Kiedy jednak człowiek dociera na wysokość 8230 metrów, wchodzi w zupełnie inny świat. Mózg potrzebuje do pracy tlenu, a na tej wysokości nie ma go zbyt wiele.

Dość szybko Jake znalazł butlę pomalowaną z jednej strony na niebiesko. Połączył się przez radio z Jochenem w bazie i opisał mu zbiornik, a Jochen potwierdził, że była to chińska butla tlenowa z wyprawy w 1975 roku. Wiedzieliśmy zatem, że jesteście na właściwym tropie.

W międzyczasie zacząłem się oddalać od pozostałych, coraz niżej i coraz bardziej na prawo, odchodząc na odległość, z jakiej nie dawało się już usłyszeć ich głosów. Jochen zlokalizował obóz VI Chińczyków wyżej, niż sądziłem, że będzie się znajdował, ale teraz polegałem już nie tyle na podręczniku, ile na swojej intuicji wspinacza. Zastanawiałem się, gdzie rozstawiłbym obóz w tej partii góry. Zachowałem świeżość spojrzenia, bo nie analizowałem wcześniej zbytnio tej sytuacji i nie starałem się nakładać przyjętych z góry założeń wobec rzeczywistości, którą miałem przed oczami.

Podchodziłem sceptycznie do „20-minutowej przechadzki”. Na tej wysokości traci się kompletnie poczucie czasu. Można powiedzieć: „Dobra, zobaczymy się za czterdzieści pięć minut”, tylko że znajdując się tak wysoko, człowiek nie zdaje sobie nawet sprawy, jak niepostrzeżenie ucieka czas. Nasuwało się też inne pytanie: Jak silny był Wang Hongbao? Niektórzy z jego tybetańskich towarzyszy mogli narzucić sobie naprawdę niezłe tempo na wysokości 8200 metrów. Kto wie, jak daleko mógł zapuścić się Wang w ciągu dwudziestu minut?

Schodziłem w dół i na prawo, posuwając się po niewielkim grzebieniu słabo zarysowanego żebra. I wtedy, około 11 rano, spojrzałem w dół i zobaczyłem pierwsze ciało. Zmarły miał na sobie purpurowy kombinezon. Podeszedłem bliżej. Leżał głową w dół, niemal całkowicie zasłonięty jedną ze skał. Miał najwyraźniej połamane albo powykręcane nogi. Był dość poturbowany, pewno wskutek długiego upadku. Jego prawe ramię sterczało prosto w górę, jakby komuś machał. Później ochrzcziliśmy go ksywką „Pozdrowiacza”. Miał na sobie buty z tworzywa sztucznego i metalowy przyrząd zaciskowy; bez wątplenia był współczesnym wspinaczem.

Kruki wyjadły mu twarz. Pozostała tylko czaszka. Całość przedstawiała koszmarny widok.

Nie miałem wątpliwości, że Pozdrawiacz nie był tym, kogo poszukiwaliśmy, ale jego obecność niosła sporo informacji. Brakowało mu jednego buta. Myślę, że to się często zdarza – kiedy ludzie naprawdę nabierają prędkości podczas upadku, to buty z łatwością mogą im się zsunąć, bo na dużych wysokościach nie sznuruje się ich zbyt mocno z obawy przed upośledzeniem krążenia krwi. Znaczące było, że leżał głową w dół. Kilka razy uciałem sobie z innymi wspinaczami pogawędkę na temat tego, jak wyglądały zwłoki, które znajdowali na zboczach gór całego świata. Prawie zawsze głowa znajdowała się niżej niż reszta ciała. Nie jestem pewien, dlaczego tak się działo. Być może głowa i górna część tułowia ma większą masę niż reszta ciała, a jak jeszcze niesiesz plecak, to cała górna część robi się znacznie cięższa niż dolna.

Kiedy patrzyłem na Pozdrawiacza, zdałem sobie sprawę z tego, że znajduję się w naturalnym zbiorniku. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego zatrzymał się właśnie tutaj, na opadającej w dół skalnej płycie? Grań, na której się znajdowałem, miała mnóstwo wypiętrzeń i wystających skalnych elementów – miejsc, w których ciało w naturalny sposób powinno się zatrzymać. W rzece wiry tworzą się za głazami. Lawina – badałem je, od kiedy zacząłem się wspinać – porywa ze sobą niektóre drzewa, a innych nie rusza, zależnie od tego, w którym momencie wytraci impet i gdzie odłoży zgromadzony materiał. Nie da się racjonalnie przeanalizować wszystkich sił oddziałujących na górskim zboczach; pozostaje intuicja. Im większe masz doświadczenie, tym więcej informacji jesteś w stanie przyswoić podświadomie.

Trawersowałem więc dalej zbocze na prawo, penetrując naturalny zbiornik, w którym się znalazłem. Gdzieś z tyłu głowy odzywała się myśl, że warto spenetrować Wielki Kuluar, znajdujący się znacznie poza zasięgiem strefy poszukiwań Jochena. Chciałem zobaczyć drogę, którą wspiął się Reinhold Messner podczas swojego niewiarygodnego solowego wejścia na Everest bez tlenu w 1980 roku. Podczas tej ustanawiającej nowe standardy wspinaczki Messner musiał pokonać znajdujące się 230 metrów dalej na zachód pasmo urwisk tworzących Drugi Stopień. Jak poradził sobie ze ścianą północną? Ciekawość pociągnęła mnie na zachód.

Nadal miałem swoich partnerów w zasięgu wzroku, ale z tej odległości – co najmniej 450 metrów – byli już tylko punkcikami na zboczu. Około 11:30 przez radio zgłosił się Andy. Powiedział: „Conrad, co ty tam robisz tak daleko? Musimy podejść do tego metodycznie”.

Odpowiedziałem: „Po prostu się rozglądam. Chcę się zorientować, jak to wszystko wygląda”. Andy jeszcze nie skończył mówić, kiedy dostrzegłem kolejne ciało, znacznie dalej, jakieś trzydzieści metrów niżej. Nieboszczyk miał na sobie niebieski kombinezon, który tak spłówał, że wydawał się szary. Na tkaninie nie pozostał już prawie żaden ślad koloru, więc zacząłem się zastanawiać, czy nie są to zwłoki, których poszukuję.

Zszedłem na dół. Ciało spoczywało na ostatniej skalnej półce przed wielkim urwiskiem. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że na nogach ma pomarańczowe stuptuty i przypinane raki, więc on również musiał należeć do współczesności. Leżał głową w dół, zwinięty w pół, z rękami i nogami powyginanymi pod dziwnymi kątami, jakby długo i gwałtownie koziołkował jak szmaciana lalka. Nie widziałem jego twarzy.

Obecność drugiego ciała dowodziła, że rzeczywiście znalazłem się w miejscu, w którym naturalnie zatrzymywały się rozmaite spadające obiekty. Patrząc w górę zbocza, mogłem dostrzec, w jaki sposób działające na nim naturalne siły przemieszczały zwłoki. Rozpocząłem teraz trawers z powrotem na wschód w kierunku pozostałych chłopców, wzdłuż górnej partii urwistego pasma. Było na tyle strome, że gdybym upadł, nie miałbym szans powstrzymać staczania się mojego ciała w dół, ale w tym terenie czułem się jak w domu. Przypominało to trochę wdrapywanie się z napędem na cztery koła.

Usiadłem, żeby zdjąć raki, napić się i possać tabletkę na kaszel. Kiedy wyruszyłem ponownie, po kilku krokach dostrzegłem strzępki niebiesko-żółtej tkaniny. A potem, przepatrując teren na prawo, skrawek alabastrowej bieli. Zwłoki, które nie należały do współczesności.

Mieliśmy niewiele czasu na wykonanie zadania. Uzgodniliśmy wstępnie, że zawrócimy o 14:00, żeby dotrzeć do obozu V przed zmrokiem, a kiedy rozpoczęliśmy odkopywanie, było już dobrze po południu. Pod nami gromadziły się chmury, którym towarzyszył lekki powiew. Z łatwo-

ścią można sobie wyobrazić, że na wysokości 8140 metrów (tak oszacowałem później wysokość, na której znaleźliśmy ciało) wykopanie cze-  
gokolwiek nie było łatwym zadaniem. Zdjęliśmy całą aparaturę tlenową,  
której nieporęczność utrudniała kopanie.

Zwłoki wmarzły w osuwisko, więc musieliśmy odłupywać otaczają-  
ce je skały i lód czekanami. Skała była tak zwarta, że odłupanie choć-  
by niewielkich skalnych fragmentów wymagało energicznego zamachu.  
Wszyscy byliśmy doświadczonymi wspinaczami, przyzwyczajonymi do  
wymachiwania naszym sprzętem, więc rąbanie szło nam dość sprawnie;  
tylko raz mój czekan ześlizgnął się ze skały i wbił się w ramię nieboszczy-  
ka. Kiedy zbliżyliśmy się do ciała bardziej, odłożyliśmy czekany i zaczęli-  
śmy kruszyć skałę kieszonkowymi szczyrykami.

Byliśmy tak głęboko przekonani, że to Sandy Irvine, że Jake usiadł,  
położył sobie na kolanach gładki kawałek łupka i zaczął ryc w nim tablicę  
nagrobną z imieniem Irvine'a i datami: 1902–1924. Później jednak zna-  
leźliśmy przyszytą do kołnierza metkę z napisem „G. Mallory”, a wkrótce  
potem Tap odnalazł kolejną na szwie pod ramieniem. Napisane było na  
niej „G. Leigh Mallory”. Gapiliśmy się na siebie zdezorientowani i powoli  
docierało do nas, że to nie Irvine. Znaleźliśmy George'a Mallory'ego.

Tap odłupywał skały po jego lewej stronie, a Jake po prawej. Ja pod-  
wazywałem zwłoki i unosiłem je lekko do góry. Dave i Andy robili zdjęcia  
i kręcili materiał wideo.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności George leżał na brzuchu; podczas  
wspinaczki większość rzeczy, które bierzesz ze sobą, wkładasz do przed-  
nich kieszeni, więc przez siedemdziesiąt pięć lat wszystkie te przedmioty  
osłaniało jego własne ciało. To może się wydawać zabawne, a może na-  
wet pretensjonalne, ale mówiliśmy o nim „George”, nie „Mallory”. Przez  
wszystkie poprzedzające te wydarzenia tygodnie tak często rozmawiali-  
śmy o Mallorym i Irwinie, że mieliśmy poczucie, jakbyśmy znali się jak  
łyse konie; stali się dla nas George'em i Sandym.

Pozostawiliśmy twarz George'a tak, jak ją zastaliśmy, wmarzniętą  
w skalne osypisko. Kiedy jednak udało się unieść dolną część jego ciała,  
Tap i Jake sięgnęli pod spód i przeszukali kieszenie. Zwłoki przypomina-



ły zmarzniętą kłodę. Kiedy je uniosłem, wydały taki sam trzask, jaki wydaje kłoda od wielu lat spoczywająca na ziemi.

Dziura wydziobana przez lata w prawym pośladku przez kruki budziła nasze zażenowanie. Ciało zostało wydrążone niemal jak dynia. Można było dostrzec resztki pestek i innego pożywienia – prawdopodobnie ostatniego posiłku Mallory'ego.

Nie zbliżaliśmy się do głowy George'a. Odsunęliśmy od niej luźne odpryski skał, ale nie próbowaliśmy jej wykopać. Myślę, że zawarliśmy jakąś niepisaną umowę; w tamtej chwili żaden z nas nie miał ochoty spojrzeć mu w twarz.

Oczywiście najbardziej podniecała nas możliwość odnalezienia aparatu fotograficznego. Jake sądził nawet przez chwilę, że go znalazł. George miał niewielką torbę umieszczoną pod prawym ramieniem. Jake sięgnął tam, ścisnął torbę i wyczuł niewielki, prostokątny przedmiot mniej więcej odpowiednich rozmiarów. Musieliśmy w końcu odciąć torbę, by wyjąć ten przedmiot, a wtedy okazało się, że to wcale nie był aparat, tylko puszka pastylek do ssania!

Potwierdzenia, że mamy do czynienia z ciałem Mallory'ego, dostarczyła znaleziona przez Jake'a zgrabnie złożona, nieużywana jedwabna chusteczka do nosa, w którą owiniętych zostało kilka listów. Wszystkie adresowane były do Mallory'ego. Na kopercie jednego z nich napisane było: „George Leigh Mallory Esq., c/o British Trade Agent, Yalung Tibet”.

Oprócz listów natrafiliśmy w kieszeniach na kilka notatek sporządzonych ołówkiem. Jak odkryliśmy później, wszystkie dotyczyły logistyki, przeniesienia bagaży do obozu VI i tak dalej. Przeczytaliśmy je uważnie w nadziei na odszukanie jakichś zapisków dotyczących dotarcia na szczyt albo konieczności odwrotu, ale nie znaleźliśmy żadnych takich uwag.

Jake i Tap wyciągali jeden po drugim kolejne – jak zaczęliśmy je określać – „artefakty”. Była to zdumiewająca kolekcja przedmiotów, biorąc pod uwagę, że ich właściciel wybierał się na szczyt Everestu. Znalazł się w niej niewielki szczyryk, malutki ołówek długości około sześciu centymetrów, do którego przylepił się jakiś rodzaj miętowego ciasta (nadal dawał się wyczuć zapach mięty), igła z nitką, maleńkie nożyczki z pilniczkiem na jednym ostrzu, druga chusteczka do nosa nosząca wyraźne ślady

używania, wyszywana w żółto-czerwone kwiatowe wzory na niebieskim tle, z żółtym monogramem G.L.M., pudełko specjalnych zapalek, Swan Vestas, z dodatkowym fosforem na czubkach, niewielki kawałek skóry z przymocowanym wężymkiem, który mógł być ustnikiem aparatury tlenowej, częściowo wyciśnięta tubka maści cynkowej i wreszcie zapasowa para rękawiczek bez palców wyglądających na nieużywane.

Dwa inne przedmioty wydawały się szczególnie intrygujące. Jake znalazł w jednej z kieszeni strzaskany wysokościomierz. Brakowało mu wskazówki, ale widać było, że instrument został specjalnie skalibrowany pod Everest, wskazując wysokości od 6000 do 9000 metrów n.p.m. Na kopercie zostało wygrawerowane elegancką czcionką „M.E.E. II” – od *Mount Everest Expedition*, wyprawa na Mount Everest. W kieszeni kamizelki znaleźliśmy parę okularów. Oprawki były pogiete, ale zielone szkło nie pękło. To Andy wpadł na prawdopodobne wyjaśnienie obecności okularów w kieszeni. Jego zdaniem oznaczało to, że Mallory spadł po zmierzchu. W ciągu dnia miałyby okulary na nosie, nawet wspinając się po skale. Andy odebrał właśnie surową lekcję konsekwencji zdejmowania okularów w ciągu dnia, kiedy to Teddy’ego Nortona dopadła kosztowna ślepotą śnieżna w noc po nieudanym ataku szczytowym 4 czerwca.

Każdy odnaleziony artefakt wkładaliśmy ostrożnie do torebek strunowych. Andy zaoferował się zanieść te przedmioty do obozu V. Niektórym może się wydawać, że zabranie przez nas przedmiotów należących do Mallory’ego było pogwałceniem jakichś zasad etycznych. Nawet my mieliśmy poczucie, że zakłócamy spokój zmarłego – myślę, że z tego powodu ociążaliśmy się z odkopywaniem go. Ale taki był cel tej wyprawy: znaleźć Mallory’ego i Irvine’a, odszukać należące do nich przedmioty i rozwikłać zagadkę wydarzeń 8 czerwca 1924 roku. Myślę, że postąpiliśmy właściwie.

Równie interesujące, jak to, co znaleźliśmy, było to, czego nie znaleźliśmy. George nie miał na sobie plecaka ani żadnych śladów uprząży na dwie butle z tlenem. Jedynym bagażem, z którym się poruszał, była niewielka torebka pod prawym ramieniem. Nie miał żadnej butelki z wodą i termosu, z którego korzystano w 1924 roku. Nie miał przy sobie latarki, bo zapomniał jej wziąć. Wiedzieliśmy to nie od Odella, ale dzięki wypra-

wie z 1933 roku, której członkowie znaleźli latarkę w namiocie obozu VI z 1924 roku.

Nie znaleźliśmy aparatu fotograficznego, co było dla nas dużym rozczarowaniem.

Robiło się późno, dawno już minęła umówiona wcześniej na 14:00 pora odwrotu. Ostatnią rzeczą, jaką wzięliśmy ze sobą, była próbka DNA, która miała dostarczyć niepodważalnego dowodu na tożsamość znalezionego przez nas człowieka. Simonson uzyskał wcześniej zgodę na tę procedurę od Johna Mallory'ego, jedyne go syna George'a, 79-latka mieszkającego w RPA. Zgodziłem się wykonać to zadanie.

Wyciąłem z prawego ramienia kwadrat skóry o boku czterech centymetrów. Nie było to wcale łatwe. Musiałem się posłużyć ostrzem z piłką roboczego noża Dave'a. Przecinanie skóry George'a przypominało cięcie specjalnie utwardzanej skóry na siodło.

Od czasu wyprawy zastanawiałem się wielokrotnie, czy pobranie tkanki z ciała było świętokradztwem. W obozie bazowym zaoferowałem się to zrobić. Na górze nie miałem już czasu na zastanawianie się, czy jest to właściwy sposób postępowania.

Chcieliśmy pogrzebać Mallory'ego albo przynajmniej jakoś go przykryć. Naokoło leżało mnóstwo skalnych odłamków, ale tylko nieliczne nie były przymarznięte do podłoża. Stworzyliśmy coś w rodzaju łańcuszka murarzy, który przekazywał kolejne odłamki w dół.

A potem Andy odczytał jako modlitwę żałobną Psalm 103: „Dni człowieka są jak trawa; kwitnie jak kwiat na polu. Ledwie muśnie go wiatr, a już go nie ma...” (Ps 103, 15-16).

Opuściliśmy wreszcie to miejsce o 16:00. Zamarudziłem trochę za pozostałą czwórką. Ostatnią rzeczą, jaką zrobiłem, było pozostawienie batonika Butterfinger na pobliskich skałach niczym buddyjskiej ofiary. Kilkakrotnie odmówiłem za zmarłego coś na kształt modlitwy.

Pozostali zrobili trawers z powrotem do obozu VI, żeby dobić do zwykłej drogi prowadzącej do obozu V, ale zauważyłem, że można pójść na skrót prosto do obozu V. Dotarłem tam o 17:00, a reszta dołączyła do mnie czterdzieści pięć minut do godziny później.

Dave i Andy rozłożyli się w jednym namiocie, Tap, Jake i ja w drugim. Dave powiedział, że dopiero w obozie V zaczęło do niego docierać, co się nam przydarzyło, uszły z niego emocje i zaczęły go przepelniać zdumienie i poczucie satysfakcji.

Zjedliśmy coś i próbowaliśmy się przespać. Byłem dość zmęczony. To był długi, dwunastogodzinny dzień. Obudziłem się po kilku uczciwie przespanych godzinach. Leżałem w dolnej części rozstawionego na zboczu namiotu, stoczywszy się z wygodnej miejscówki. Wiatr uderzał w ściany namiotu. Nie byłem w stanie zasnąć przez resztę nocy, kręciłem się tylko i przewracałem z boku na bok.

Leżąc bezsennie, przypominałem sobie wypadki poprzedniego dnia. Kiedy siedziałem u boku George'a, odniosłem dobitne wrażenie, że mimo złamanej nogi i tego, co kruki zrobiły z jego ciałem, osiągnął spokój. Kiedy tak siedziałem obok niego, myślałem o tym, że ten człowiek był takim samym wspinaczem jak ja. Mieliśmy te same cele, te same aspiracje, to samo nas cieszyło i zasmucało. Naszym życiem rządziły te same żywioły. Kiedy myślałem o mężnych próbach George, o tym, że zdołał zająć tak wysoko na północnej ścianie Everestu w 1924 roku, biorąc pod uwagę ubranie i wyposażenie, jakim dysponował w tamtych czasach, ogarniało mnie zdumienie i podziw.

Zacząłem się już zastanawiać nad konsekwencjami naszego znaleziska. Wydawało się mało prawdopodobne, by Wang Hongbao znalazł w 1975 roku ciało Mallory'ego. Jego opis – człowiek leżący na boku, z policzkiem wygryzionym przez kruki – różnił się zanadto od tego, co właśnie zobaczyliśmy. Skoro zatem Wang znalazł Irvine'a, to gdzie? Czy pęknięta lina oznaczała, że mężczyźni spadli razem? Czy w takim przypadku ciała Irvine'a należało szukać nieopodal? Jakie było prawdopodobieństwo, że w kieszeni Irvine'a znajdował się aparat fotograficzny? Wybiegałem już myślą ku kolejnym poszukiwaniom.

Wiedziałem, że dokonaliśmy ważnego odkrycia, ale pojąłem w pełni jego znaczenie dopiero po tym, jak opuściliśmy zbocza Everestu. Choć wciąż właściwie utrzymywaliśmy ciszę w eterze i porozumiewaliśmy się kodem, kiedy dwa dni później dotarliśmy do bazy, cały świat huczał już od plotek na temat odnalezienia ciała George'a Mallory'ego.